

# Pacyński Tomasz

## Straty uboczne

Z „Fahrenheit”

Długi, źle oświetlony korytarz uparcie przywodził na myśl więzienie z kiepskiego filmu klasy C. Kraty pomalowane złączącą w liszczach farbą, rzędy drzwi z otworkami judaszy, żarówki, niegdyś skryte pod tandetnymi kloszami, teraz już tylko osłonięte drucianą siatką, zakurzone i obesrane przez niezliczone pokolenia much.

Gumowe podeszwy nie wydawały żadnego odgłosu w zetknięciu z lastrykową posadzką. Starali się omijać pety i inne niezidentyfikowane świństwa zalegające w kątach. Ostrożność niepotrzebna, zza cienkich drzwi słychać było zwykle odgłosy życia w mrówkowcu na warszawskim Bródnie, intensywne zwłaszcza w ten weekendowy wieczór. Mimo to, gdy pod czarnym butem pękła jednorazowa strzykawka, dziewczyna skrzywiła się niezadowolona. Idący obok niej starszy mężczyzna uśmiechnął się tylko pobłaźliwie. Cichy trzask utonął w jazgocie kłótni, jakaś rodzina silna słowem rozstrzygała właśnie kwestię, kto pójdzie po następną flaszkę.

Te właściwe drzwi nie różniły się niczym od pozostałych, nawet numer, namalowany kiedyś czarną farbą, był już całkiem wypłowiały, niewątpliwie ze starości albo sam z siebie. Przypuszczenie, że kiedykolwiek brudnej dytki dotknęła ścierka ciecica było bardzo ryzykowne. Ale niewątpliwie nad bielmem porysowanego wizjera widniała kiedyś siódemka.

Ze smrodem gotowanej kapusty mieszał się inny, ostry zapach, jakby acetonu czy rozpuszczalnika. Mężczyzna mrugnął do towarzyszki. Niewątpliwie dobrze trafili.

Jednocześnie naciągnęli na twarze czarne kominiarki.

– Wchodzimy na trzy? – szepnął mężczyzna. Nawet w tym szepcie dało się usłyszeć miękki, wschodni akcent. Ubrana w czarny, obcisły kombinezon dziewczyna zaprzeczyła ruchem głowy, na małym pudełeczku w jej dłoni błysnęła czerwona dioda.

– To jak? – zmarszczył się, widząc, jak końcem paznokcia wciska mikroskopijne, gumowe klawisze.

– Na raz, dwa, trzy i już! – uśmiechnęła się. Zęby błysnęły w wykroju kominiarki. – Potrzyмай chwilę.

Najpierw zawiasy. Plastikowy materiał wybuchowy łatwo dał się wcisnąć w szczelinę tuż przy futrynie. Potem zamek, solidna gerda, z podwójnym rygłem. Aż syknęła ze zdziwienia, taki zamek na takie główniane drzwi, pomyślała. Przecież kopniakiem to można otworzyć, noga przez tę dytkę na wylot przejdzie.

– Tylko nie naciśnij teraz – rzuciła swemu towarzyszowi szybkie spojrzenie. Ten nic nie odpowiedział, choć zauważył, że jak zwykle dała dużo plastiku, lubiła mocne wejścia. Ale działała wprawnie, z przyjemnością patrzył, jak wciska w materiał wybuchowy tulejki detonatorów, łączy przewody, ściągając izolację zębami, niczym stary saper. Cicho szcęknął magnes, gdy odbiornik zdalnego urządzenia odpalającego przylgął do metalu framugi.

– Nie lepiej tradycyjnie, z kopa? – mruknął mężczyzna ironicznie, gdy dała znak, by odskoczyć od drzwi.

– Nie – syknęła, gdy przywarli już oboje do ściany, niedaleko. Plastik miał działanie kierunkowe, nie trzeba było zbyt odchodzić. Szczęknęła przeładowywana czterdziestkapiątka, dziewczyna wsunęła ją za pas na plecach, wyciągnęła rękę po detonator, ujęła czarne pudełko dłoń w rękawiczce pozbawionej palców. Jej zwalisty towarzysz odrzucił worek, w mętym świetle żarówki błysnęła matowo oksydowana lufa śrutowej strzelby. Podwójny trzask oznajmił, że nabój z grubymi loftkami znalazł się w komorze.

– No to raz, dwa, trzy... – powiedziała dziewczyna już na głos, wpatrując się w nabazgrany flamastrem nitro na olejnej lamperii napis "Jolka to kurwa".

– ...i już!

Wcisnęła guzik.

Ładunek istotnie był mocny, korytarz wypełnił się kwaśnym dymem, pociemniało gwałtownie, również dlatego, że popękały żarówki pod stropem.

Ruszyli oboje, jeszcze w uszach dzwoniło echo wybuchu, gdy zza mijanych drzwi usłyszeli ochryply, zgodny damsko-męski wrzask.

– Ciszej tam, kurwa!

To życzenie nie zostało spełnione.

Odrzuciła niepotrzebny już detonator, sięgnęła do pasa. W buchającą dymem czeluść wyrwanych drzwi poleciał granat obezwładniający, za nim drugi. Nawet przy przymkniętych powiekach błysk był intensywny, co dopiero dla tych w środku, zaskoczonych i nieprzygotowanych. Powinni teraz zwijać się z bólu na podłodze, ludzki system nerwowy, zaatakowany jednocześnie światłem i dźwiękiem o takim natężeniu, po prostu odmawia posłuszeństwa. Można przeciwników wybierać jak raki z saka, nieważne, terrorystów, gangsterów czy protestujących rolników.

– Osłaniaj! – rzuciła dziewczyna, zupełnie niepotrzebnie, bo partner właśnie zamierzał wpaść do środka. Sama skuliła się, rzuciła naprzód, trzymając w złączonych dłoniach swojego wojskowego colta.

W środku można było już coś zobaczyć, podmuch wybuchu wywalił szyby, przeciąg wywiewał dym. Obróciła się, omiatając pomieszczenie wiązką laserowego celownika, widoczną wyraźnie, rozpraszającą się na resztkach dymu i wiszącym w powietrzu kurzu, wzniesionym wybuchem.

Istotnie, ludzki system nerwowy wysiada w konfrontacji z granatem obezwładniającym. Ale tym razem nie było to takie proste.

Pierwszy – wbrew swemu imieniu – zareagował Gapcio. Unosił właśnie swojego skorpiona, dość sensownie wybraną broń jak na faceta, który miał około metra pięciu wzrostu, jeśli liczyć spiczastą, czerwoną czapczkę z pomponikiem. Ale nawet mały skorpion był dla niego niczym M-60 dla Silvestra Stallone. Małe bicepsiki krasnoludka nabrzmiały niczym mięśnie Rambo, był jednak za wolny. Zanim czarny otwór lufy zajrzał w oczy dziewczyny, huknęła czterdziestkapiątka, cała głowa nad siwą, długą brodą zniknęła w rozprysku krwi.

Dziewczyna zamarła na chwilę, co nie było zbyt rozsądne. Ale nigdy przedtem nie widziała, jak działa Glaser Safety Slug na krasnoludki.

– Padnij! – usłyszała i posłuchała natychmiast. Charakterystyczny trzask AK-47 w zamkniętym pomieszczeniu był ogłuszający, długa, nie mierzona seria wybijała płytkie dziury w ścianach z wielkiej płyty, w pokoju zatańczyły odłamki betonu i rykoszety. Dziewczyna przycisnęła głowę do gołego PCV, pokrywającego podłogę. Coś szarpnęło nogawkę kombinezonu, za chwilę poczuła potężne uderzenie

w plecy, chronione na szczęście płytą kamizelki. Mimo to wyparło jej powietrze z płuc, zdawało jej się, że w pomieszczeniu nagle pociemniało.

Trzask serii z kałacha przerwał wreszcie głęboki, basowy huk śrutówki, zaraz potem drugi. Zapadła chwila ciszy, tylko ostatnie łuski spadały z brzękiem na podłogę. Z kwaśnym odorem plastiku mieszał się smród kordytu. I coraz silniejsza woń acetonu.

Mogła się już poruszyć. Kuchnia, przemknęło dziewczynie przez głowę, zawsze ktoś jest w kuchni. Poderwała się, nie zważając na ostry ból w plecach, to chyba jednak nie był rykoszet, pomyślała, tylko solidny kawałek gruzu. Kątem oka dostrzegła coś jak stertę szmat z pomponikiem, leżącą w kącie, odrzuconą tam wiązką śrutu. Jeśli był to Wesolek, to powinien zmienić imię na Dziurawiec. Kałasznikow leżał obok niego. A dalej druga sterta szmat, równie podziurawiona, z której oskarżycielsko spoglądało niebieskie oko, ocienione krzaczastą, siwą brwią. Tego od pary nie było, tylko powoli wypełniający się krwią oczodół.

Wymierzyła w drzwi z wielką, żółtą szybą, jakimś cudem nietkniętą dotąd, mimo wybuchu i strzelaniny. Zza okien dochodziło już zawodzenie policyjnej syreny. Trzeba się spieszyć, pomyślała.

Kopnęła w drzwi, posypały się odłamki matowej szyby. Tych trzech w środku zgubiła chciwość, zamiast zwiewać przez okno, co byłoby najrozsądniejsze, w rozpaczliwym pośpiechu pakowali do sakw już odważone działki, w małych, estetycznych, plastikowych torebkach. W dodatku wyrwali je sobie wzajemnie.

Wycelowała starannie, stojąc w pozycji Weavera, jak w podręczniku strzeleckim. Ściągnęła spust trzykrotnie, raz za razem, tak szybko, jak tylko nadążyła przenieść czerwoną laserową plamkę na kolejne cele. Ścianę nad zlewem ozdobiły trzy czerwone rozbryzgi.

Wpadła do kuchni, zanim jeszcze bezgłowe ciała trzech krasnoludków osunęły się na podłogę. Sprężona obróciła się wokół, omiatając przestrzeń lufą pistoletu.

– Czysto! – krzyknęła.

Dostrzegła przewrócony kanister, na podłogę wylewała się struga przejrzystej cieczy, śmierdzącej jak rozpuszczalnik nitro. W zlewie i na kuchennym blacie stała aparatura, wyglądająca jak z koszmarnego snu alchemika. Coś bulgotało, przelewało się w szklanych rurekach.

– Uwważaj, brakuje jednego!

Istotnie, trzech tam, trzech tutaj. Gdzie siódmy, pomyślała, znów unosząc broń, mierząc w kuchenne szafki. Taki kurdupel mógł przecież schować się w dowolnej z nich. Zakłęła pod nosem. Zaraz wypadnie z któregoś z ingramem w każdej ręce i okrzykiem "banzai!", czy co tam krzyczą krasnoludki w sytuacjach ekstremalnych.

Nie wypadł. Z pokoju dało się słyszeć jakiś łomot, szurnięcie, oddalający się tupot małych nóżek. Potem plugawe rosyjskie przekleństwo i huk śrutówki, już z korytarza. A potem już tylko narastający jęk policyjnych syren z za wybitych okien i ciche charczenie w tle. Coraz cichsze.

Dziewczyna wyprostowała się, naciśnięciem kciuka wyrzuciła magazynek. Wbiła w rękojeść nowy, tym razem załadowany porządną, penetrującą wojskową amunicją. Glaser był niezły na terrorystów w samolotach i krasnoludki w pomieszczeniach, ale już nie na policjantów. Poza tym strasznie niszczył przewód lufy, zupełnie jak srebrne pociski na wampiry.

Jeszcze raz obrzuciła spojrzeniem kuchnię zamienioną w laboratorium do produkcji amfetaminy. Stoczyliście się, kurduple, pomyślała, pewnie od czasu, kiedy Śnieżka zaszła w ciążę. Klóciliście się wiek

bez mała, jakby miało znaczenie, kto jest naprawdę ojcem. Bez sensu, bo i tak badania genetyczne wykazały w końcu, że żaden z was.

Pod gumowymi podeszwami zazgrzytało szkło. Wyszła na korytarz, stanęła obok mężczyzny. Ostatni krasnoludek przestał już charczeć.

– Daleko dobiegł – mruknęła dziewczyna, ściągnając kominiarkę. Potrząsnęła głową, włosy rozsypały się dokoła głowy.

– Siedział pod stołem, nie zauważyłem. Długo zwlekał, od razu widać, że Maruda.

Popatrzyła krytycznie.

– W dodatku prawie chybiłeś.

Istotnie, trafiony krasnoludek odbiegł jeszcze spory kawałek, malując na olejnej lamperii całkiem nowe graffiti. Mężczyzna wzruszył ramionami.

– I tak nie uciekł – odparł spokojnie. – Chyba pora się zbierać.

Nadepnął na porzucony w korytarzu detonator, rozgniatając go butem. Będzie niezła zagwozdka dla antyterrorystów, urządzenie pochodziło jeszcze z pięknych, afgańskich czasów, kiedy to CIA zaopatrywało mużahedinów, wtedy jeszcze dobrych.

Rodzina słowem silna zamilkła już, albo wystraszona, albo ktoś poszedł w końcu po flaszkę. Dziewczyna przypaliła cienkiego papierosa, zaciągnęła się raz i drugi. Pstryknięciem palców posłała papierosa wprost przez wywalone drzwi. Z głuchym stęknieniem zajęły się opary rozpuszczalnika, buchnęły płomienie.

– Zawsze byłaś efekciarą, Matyldo – mruknął z dezaprobatą mężczyzna. Też ściągnął kominiarkę, ocierał z potu rumianą, szeroką twarz.

– Spadamy, zanim coś tam pieprznie – dodał. Nie szukał nawet worka, by schować swoją broń, trzymał ją niedbale pod pachą. Nigdy nie wiadomo, co zastaną przed blokiem.

Pieprznięto istotnie, gdy tylko zdążyli wyjść z klatki, widać kanistrów z odczynnikami było więcej. Wybuch nie był silny, tylko resztki szyb na parterze posypały się z brzękiem. Jakaś emerytka, paskudne babsko z równie paskudnym psem na smyczy przypadła do ziemi.

– Skaranie boskie! – wrzasnęła. – Tylko bomby by podkładali!

Przy motocyklu Matyldy stał młody policjant. Wyglądał, jakby już zdążył pożegnać się z życiem. Jego kolega w stojącym nieopodal radiowozie udawał, że wcale go tam nie ma. Wychodziło mu to niezgorzej.

Matylda schowała broń. Dyskretnie ominęła wzrokiem mokrą plamę na mundurowych spodniach. Policjant widząc, że wciąż żyje, odzyskał głos.

– Jja... – zająknął się. – Jjja tylko pilnowałem motoru...

– To nie motor, to harley – odparła Matylda uprzejmie, kopiąc rozrusznik. Jej towarzysz usadowił się za nią, objął wpół. Po chwili oddalający się, głęboki warkot dwóch cylindrów w układzie V pochłonęły zbliżające się strażackie syreny.

\*\*\*

Szczupła barmanka o ostrych, lecz noszących ślady niegdysiejszej urody rysach pochyliła szklanekę. Piwo spływało po ściance, układając się w złotą warstwę nad kręgiem soku wiśniowego na dnie.

– Sześć pięćdziesiąt.

Matylda podała dziesięciozłotowy banknot, gestem odmówiła przyjęcia reszty. Barmanka włożyła do szklanki plastikową słomkę. Nie podziękowała nawet uśmiechem.

Matylda nie była zdziwiona. Bez słowa wzięła piwo, ruszyła przez małą salkę w kierunku wysokich stołków pod wielkim oknem, skąd miała znakomity widok na Nowy Świat, a w lustrach, zdobiących ściany, na całe wnętrze lokalu. Złowiła kilka spojrzeń, natarczywych jak zwykle. Ale bywalcy baru "Piotruś" nie mieli żadnych szans, nie gustowała w urzędnikach cierpiących na początki alkoholizmu na tle niezrozumienia u żon, ani też w miejscowych menelach.

Zamieszała piwo słomką, gęsty sok z dna zabarwił je na jasnorubinowy kolor. Pociągnęła pierwszy łyk, spoglądając na ruchliwą ulicę. Miała czas, wprawdzie Dziadek nigdy się nie spóźniał, ale ona lubiła przyjść wcześniej. Wypić spokojnie, przemyśleć wszystko.

Dziadek. Zawsze tak o nim myślała. Czasem mówiła, choć wyraźnie widziała, że nie sprawia mu to przyjemności.

Za szybą mignęła srebrna, krótko przystrzyżona czupryna. Po chwili mogła obserwować w lustrze, jak przeciska się między stolikami, mija wystawioną bez sensu na środek zamrażarkę, wypełnioną lodami w podejrzanych kolorach. Najgorsze skojarzenia budziły czekoladowe.

Z trudem usadowił się na stołku, ich ustawienie, zbyt bliskie, nie było przewidziane na jego tuszę. Sapnął głośno.

Matylda popatrzyła z ukosa. Zmienił się bardzo przez te lata. Z krótko przystrzyżoną, rzadziejącą czupryną, ze srebrnym zarostem przypominał bardziej Seana Connery, niż Dziadka Mroza sprzed... Tak, sprzed zaledwie trzech lat.

Dostrzegła taki sam taksujący wzrok. W tym spojrzeniu niebieskich oczu było jeszcze coś więcej. Z trudem powstrzymała się, by nie pogłaskać szerokiej dłoni, spoczywającej na imitującym marmur blacie.

Zamiast tego cmoknęła go w policzek, bardzo po przyjacielsku.

– Wyglądasz jak nowy Ruski.

Dziadek przyjrzał się z uwagą nowiutkiemu rolexowi na swym przegubie. Potem złotej bransoletce zdobiącej drugi nadgarstek.

– Przecież jestem nowym Ruskim – uśmiechnął się. – Co w tym złego?

Matylda pociągnęła głęboki łyk, resztką piwa zabułgotała w słomce.

– Nic – odparła. – Tylko tracisz czas na głupoty.

Nie odpowiedział. Strzelił tylko palcami, nie odwracając się nawet. Barmanka o ostrych rysach wyszła spieszenie zza kontuaru.

– Co podać? – spytała.

– Whisky z colą.

Matylda skrzywiła się.

– Co, nie podoba ci się? – Dziadek uśmiechnął się. – A co niby ma pić nowy Ruski?

– Nie o to chodzi. Mnie nigdy nie podaje...

– No i sama widzisz. Nie pasujesz tutaj, wyglądasz na sikszę z dobrego domu. Powinnaś pić gdzie indziej, tu wzbudzasz tylko ciekawość. A może i podejrzenia.

Podał jej ogień, już nie swoją starą, benzynową zippo, ale złotym, gazowym ronsonem.

– I nie masz racji – dodał, widząc zmarszczenie brwi. – Nie tracę czasu na głupoty. Byłem na rybach.

Zaciągnęła się głęboko. A potem zakrztusiła dymem, gdy dotarło do niej, co powiedział. Kaszłała jeszcze, przecierając zażawione oczy, kiedy barmanka postawiła przed Dziadkiem szklanę i butelkę coli.

– Tak lubię – sapnął z zadowoleniem. – Sam sobie mieszać.

Ujął butelkę, nie zaczął nawet nalewać, kiedy impulsywnie objęła go za szyję, przylgnęła policzkiem do jego twarzy. Poczerwieniał nieco, gdy poczuł nacisk twardej piersi.

– No już, dziecinko – powiedział tak jakoś bezradnie, zmieszany. – Puść, bo mnie przecież udusisz.

Odsunęła się powoli, przesunęła lekko dłonią po szorstkim, siwym zarostcie. Jej oczy błyszczały radością i podnieceniem.

– Mój ty kochany... – szepnęła. – Czyli złota rybka już też?

Poczerwieniał jeszcze bardziej, udawał, że jest bardzo pochłonięty mieszanym drinkiem.

– Ano też – mruknął w końcu. – I tak sobie pomyślałem, mają się te trzy życzenia zmarnować? Zawsze chciałem mieć rolexa.

– No, nie mów! – roześmiała się jak mała, uszczęśliwiona dziewczynka. – Trzeba było jeszcze merca sobie zażyczyć!

– Skąd wiesz? – rzucił jej speszzone spojrzenie.

Roześmiała się jeszcze głośniejsze. Po chwili jednak spoważniała.

– Dziękuję – powiedziała cicho. – Obawiałam się o tę robotę, naprawę. Zupełnie nie wiedziałam, gdzie cholery szukać.

Rozpogodził się.

– Ech, żeby tylko takie zlecenia były. Żaden problem, stary wędkarz jestem, pamiętam, rzeka Moskwa, mróz czterdzieści stopni, rąbę przerebęł...

– Tylko bez kombatantstwa – przerwała mu bezceremonialnie. – Opowiedz lepiej, jak było.

Dziadek spochmurniał nieco.

– No, normalnie... – zaczął jednak. – Na białego robaczka wzięła, zanęciłem wcześniej...

– Takie szczegóły techniczne mnie nie interesują – przerwała znów. Popatrzył na jej zaciętą twarz.

Ona ich naprawdę nienawidzi, pomyślał po raz któryś. Nie spocznie, póki nie wytępi do końca. Tu nie chodzi o biznes, o to, by tylko Dziadek Mróz ze swoją asystentką mógł uszczęśliwiać dzieciaki. To już sprawa osobista.

– No cóż... – powiedział wolno. – W łeb i do sadzyka. Ale dopiero wtedy, kiedy spełniła te trzy życzenia i przeszła do gróźb. A potem... Jak powiadają, ucha najlepsza, kiedy jest z wielu gatunków ryb. A brały i okonki, i krąpiki, zwykłe płotki też. Szkoda było robaczki zmarnować.

Pociągnął łyk ze swej szklanki. Skrzywił się, na pewno nie była to ballantine. Przez chwilę zastanawiał się, czy jednak nie odstrzelić barmanki. Co tam, za dużo ludzi, pomyślał.

– Lubię taką robotę – dodał po chwili. – Stary już jestem, trochę relaksu się przyda. To nie to, co ostatnio, z tymi kurdupkami. Ten ostatni, gdyby nie był tak tchórzliwy, mógłby mnie dostać.

Rysy Matyldy stwardniały.

– Ciebie? – spytała powoli. – Afgańca? Czyżbyś miękł na starość?

Pokręcił głową.

– Nie, Matyldo, nie mięknę. Ale zawsze możemy popełnić błąd. Tak jak ty, przy tej samej okazji zresztą. Miałaś szczęście, że krasnoludkowi ciężko strzelać z kałacha, odrzut za bardzo nim rzuca.

Matylda spoważniała.

– Nie złość się – powiedziała cicho. – Wiesz, to dlatego, że ja tych kurdupli nienawidziłam chyba najbardziej. Wujek dał mi kiedyś kasetę, ukradł gdzieś pewnie. I kazał w kółko te bzdury oglądać.

I obmacywał przy tym, bo miałaś już dwanaście lat, pomyślał Dziadek Mróz. Nigdy się do tego nie przyznałaś, ale mówiłaś przez sen. Masz rację, tak nie można, to nieprawdziwe. Świat tak nie wygląda, a biednym dzieciom robią wodę z mózgu. Im prędzej się to skończy, tym lepiej dla wszystkich.

W kąciku Dziadka błysnęła łza. Kochał dzieci, uwielbiał widzieć ich rozpromienione buzie, kiedy sięgał do worka z prezentami. A potem przegnano go, przyszedł ten uzurpator. Matylda ma rację, to nie biznes, to sprawa osobista. To dla dobra tych wszystkich małych pędraków. A Mikołaj miał to wszystko gdzieś. Wystarczy przypomnieć sobie jego słynną odzywkę z Etiopii.

Mikołaja już nie ma. Ale zostały te wszystkie bzdury, krasnoludki, smerfy, skrzaty. Złote rybki spełniające życzenia i żabki zamieniające się w królowny. Tylko dziewczynka z zapalkami nabrała w porę rozumu i zaczęła handlować innym towarem. Słuszna decyzja, pomyślał, bo też niezła z niej szprota.

Matylda ma rację. Dopóki nie wypleni się wszystkiego, dopóty dzieci nie będą nic wiedziały o złym świecie. Bo prawdziwy świat to Van Damme i Steven Segal, proste prawa. To cuchnący gorzałą wujek pedofil i mama puszczańska. I jak maleństwa mają się przed tym bronić, skoro od dzieciństwa ogłupia się je kurdupkami w czerwonych czapeczkach?

– Popatrz, jak kurduple skończyły – głos Matyldy wdarł się w tok jego myśli. – Mogły poprzestać na szczaniu do mleka.

– To skrzaty – sprostował machinalnie. Matylda uśmiechnęła się złym uśmiechem.

– Wszystko jedno, im też się dobierzemy do dupy. Na wszystko przyjdzie właściwa pora.

Z irytacją popatrzyła na swoją pustą szklanke

– Zamów mi piwo. Nie chce mi się tyłka ruszać.

Dziadek, nie patrząc, strzelił palcami. Wskazał Matyldę.

Zanim barmanka nalała kolejne piwo, rysy dziewczyny złagodniały. Sięgnęła do torebki, grzebała w niej chwilę. W końcu, zniecierpliwiona, wysypała zawartość na blat. Na samym wierzchu leżał złożony wielokrotnie papier, dość pomięty. Rozprostowała go jedną ręką, drugą upychając zawartość do torebki. Największy problem sprawiał colt, nie był to damski pistolet.

Barmanka podała piwo. Nie dała po sobie poznać, że cokolwiek zauważyła. Zbyt wiele widziała już w tym barze.

– Mam coś dla ciebie – uśmiechnęła się Matylda, gdy barmanka odeszła. – Taką robotę jak lubisz, przyjemne z pożytecznym.

Oczy Dziadka Mroza rozjaśniły się z rozczulenia. Dostrzegł na wymiętoszonym dokumencie pieczęcie związku łowieckiego i nadleśnictwa.

– Załatwiłaś... – szepnął cicho i z radości golnął swojego drinka jednym haustem. – Załatwiłaś odstrzał na jelonka Bambi!

Objął ją i ucałował siarczyście.

– Moja dziewczynka kochana! Ech, idiot ochota na wołkow, idiot ochota! – zanucił głośno, nie całkiem a propos. Bywalcy baru "Piotruś", którzy unieśli z zaciekawieniem głowy, opuszczali je szybko, zmrozeni spojrzeniem Matyldy.

– Ale to później – powiedziała dziewczyna, kiedy Dziadek Mróz zamilkł, skonsternowany nieco swą dziecinną radością. – Na przyjemności przyjdzie czas. Będzie ich więcej, obiecuję. Ale jeszcze nie teraz.

Dziadek nie mógł opanować niecierpliwości. Jest jak duży dzieciak, pomyślała Matylda, wielki, kochany misio. No dobrze, powiem mu, z mężczyznami trzeba umieć postępować.

– No dobrze. Słoneczna Kenia, potem skóra z lwa przed kominkiem... – zawiesiła na chwilę głos. – Z Króla Lwa. Tylko już nie śpiewaj, proszę!

Nie zaśpiewał. Mrugał tylko, by ukryć łzy wzruszenia. Kocham cię, pomyślała Matylda ze smutkiem. Chociaż nie tak jakbyś chciał.

– Do... – jej głos się załamał, odchrząknęła, by pokryć zmieszanie. – Do rzeczy. Na jelonka przyjdzie czas w sezonie, nie będziemy przecież kłusować. Na razie mamy ważniejsze sprawy. I pilniejsze.

Obawiał się tego. Po ostatniej akcji miał złe przeczucia, Matyldę czasem ponosiło. Wolałby wrócić do szkolenia, większe akcje to nie to samo co stuknięcie wampira ze snajperskiego karabinu, nawet srebrną kulą. Uśmiechnął się mimo woli. Postęp technologiczny sprawiał czasem kłopoty, wiele trudu kosztowało namówienie norweskich inżynierów w zakładach Nammo do zastąpienia cyrkonowego rdzenia srebrnym. Ale teraz dysponowali zapasem amunicji o parametrach Grade A i żaden wampir nie miał szans. Nawet z odległości kilometra.

Matylda dostrzegła, że szybko spochmurniał.

– Nie – powiedziała. – Tym razem żadnych wariackich przedsięwzięć. Zaufaj mi.



Dopiła swoje piwo.

– Jutro mamy spotkanie. Ubierz się, tylko porządnie...

Otakowała go wzrokiem, drogi, w niezłym guście garnitur i tandetne, ciężkie złote ozdoby. Nowy Ruski w najlepszym wydaniu.

– A w zasadzie nie – uśmiechnęła się. – Nawet lepiej, jeśli przyjdiesz tak jak dzisiaj.

\*\*\*

Amerykański attache prasowy w Warszawie nienawidził swojej roboty. Polskę uważał za zadupie, w dodatku takie, w którym zupełnie nie miał szans wykazać się w swej właściwej specjalności. Wyjątkowo kiepski przydział dla szefa rezydentury CIA.

Jego kontakt się spóźniał. Lubił tak myśleć, właśnie "kontakt", to dawało mu namiastkę tych przeżyć, których mógłby doświadczyć, gdyby nie zesłano go na tę beznadziejną placówkę, a choćby do Bangladeszu. Ale na myśleniu zwykle się kończyło, dziś pewnie będzie nie inaczej. Cóż, może ta smarkata da się choć poderwać, ona pewnie też gra w tę samą grę, chce znaleźć się w centrum wydarzeń. Może więc nie skończy się na jednym spotkaniu z amerykańskim dyplomatą, może będą następne, już nie tylko u Bliklego, a w bardziej sprzyjających warunkach. Miał nadzieję, że ona też oglądała filmy z Jamesem Bondem i wie, jaki powinien być naturalny w tych sprawach rozwój wydarzeń.

W kawiarni było pustawo, był jedynym gościem poza ponurym, szpakowatym typem przy sąsiednim stoliku. Typ kończył właśnie kolejnego pączka, wydawał się całkiem pochłonięty oblizywaniem palców. Attache popatrzył z niesmakiem na drobinki lukru na krótko przystrzyżonej brodzie, na ciężki, złoty łańcuch na przegubie. Co za dzicz, pomyślał, kogo tu wpuszczają.

Sączył swoją kawę. Choć był w Polsce już od roku, wciąż nie mógł się przyzwyczaić do jej smaku. Wpatrywał się bezmyślnie w jedyne, poza sobą, gościa, od czasu do czasu zerkając na zegarek z rosnącą niecierpliwością. Pół godziny spóźnienia, nie ma się co łudzić. Nici z pięknie zapowiadającego się romansu, wystawiła go.

Szpakowaty skończył pączka, rozejrzał się, po czym utkwiał spojrzenie niebieskich, ocienionych krzaczastymi brwiami oczu prosto w skonsternowanym dyplomacie. Zanim ten jeszcze zdążył spuścić wzrok, typ wyraźnie mrugnął. I uśmiechnął się szeroko.

Może to jakiś gej, zdążył jeszcze pomyśleć attache, zanim zwałisty mężczyzna wstał i otrzepał niespiesznie resztki lukru z gorsu. Mylił się.

Szpakowaty zdecydowanie ruszył do jego stolika. Stanął przy nim, spojrzał z góry na rozpaczliwie unikającego jego wzroku dyplomata.

– Pajdiom, towariszcz szpion – powiedział cicho, lecz stanowczo.

Czekała w ogródku, pustym o tej porze, jak i wewnątrz cukierni. Attache był zawodowym dyplomatą, jego posada w CIA była rezultatem republikańskiego podziału powyborczych łupów. Od razu jednak zrozumiał, że dziewczyna jest zawodowcem, mimo braku wywiadowczego przygotowania czytał przecież wiele przygód Jacka Ryana, co, jak sądził, dawało mu wystarczające kwalifikacje.

Stolik wybrała znakomicie, na skraju ogródka. Ludzie przechodzący obok mogli usłyszeć jedynie strzępy rozmowy, kilka słów, których nie sposób złożyć w sensowną całość.

Była piękna jak wtedy, kiedy podeszła do niego po raz pierwszy, na jakiejś śmiesznej uroczystości składania wieńców z okazji kolejnej polskiej klęski narodowej. Teraz jednak dyplomata zupełnie nie miał

głowy do kontemplowania damskiej urody. Coś, co miało być zabawą w szpiegów, nieuchronnie zmierzającą do finału w łóżku, okazało się czymś zgoła innym. Oby nie prowokacją, pomyślał w panice.

Nie wstała na powitanie, wyciągnęła tylko rękę, jakoś tak dziwnie. W nagłym przeblysku inteligencji attache przypomniał sobie miejscowe obyczaje i ucałował jej dłoń. W innych okolicznościach muśnięcie wargami gładkiej skóry sprawiłoby mu nieklamana przyjemność, jednak nie dziś.

Szpakowaty rozsiadł się przy sąsiednim stoliku. Zapalił jakiegoś okrutnie śmierdzącego papierosa bez ustnika i pozornie zrelaksowany śledził przechodniów spod zmrużonych powiek.

– Napijesz się czegoś? – spytała dziewczyna. Zaprzeczył ruchem głowy, myśląc jednocześnie, że jak na ukraińską dziennikarkę znakomicie mówi po angielsku, prawie bez akcentu.

– No to do rzeczy – powiedziała. – Przysuń się bliżej, nie gryzę. W każdym razie nie od razu i nie w takich okolicznościach.

W jej głosie wyraźnie dawała się wyczuć kpina. Gdy przysunął się niezdarnie, oparła mu naturalnym gestem głowę na ramieniu. Zapach perfum w połączeniu z feromonami sprawił, że dyplomata na chwilę przestał myśleć.

– No, nie wyobrażaj sobie zbyt wiele – jej głos wyrwał go brutalnie z rozmarzenia. – To interes, nie przyjemność. Popatrz.

Położyła na stoliku małą fotografię, czarnobiałą, ziarnistą odbitkę. Przez chwilę attache wpatrywał się w nią bezmyślnie. Z niczym mu się na razie nie kojarzyła.

– To al samum, zmodyfikowana wersja starego scuda – powiedziała, gdy milczenie się przedłużało. – Zasięg pozwala na osiągnięcie Izraela z każdego punktu w Iraku, czy nawet Libii. Zdjęcie zostało zrobione w tajnej wytworni, podczas montażu. Zwróć uwagę na pierścień mocowania głowicy.

Chwilę wpatrywał się w niewyraźną fotografię. Zupełna abrakadabra, nawet nie wiedział, gdzie szukać tego cholernego pierścienia.

– Nie... – zaczął po dłuższej chwili niepewnie.

– Wiem, nie jesteś analitykiem – przerwała bezceremonialnie. – Więc musisz uwierzyć mi na słowo, potem prześlesz dalej, ktoś potwierdzi nasze dane.

– Może i nie jestem, ale oglądam przecież CNN! – odparł machinalnie, oburzony. Ostra mała, pomyślał. Ma najwyżej dwadzieścia, dwadzieścia dwa lata...

Coś zaskoczyło w skołowanym umyśle dyplomaty. Al samum... Broń masowego rażenia. Coś, czego nie chcą znaleźć inspektorzy ONZ i ten stary piernik Blix, niewątpliwie na złość naszemu Dubya.

– Może chcesz ocenić źródło? – spytała niewinnie dziewczyna. Podniosła głowę z jego ramienia, zatrzepotała rękami. Tętno rezydenta CIA osiągnęło stadium tachykardii. Sam nie wiedział, czy na widok uwodzicielskiego spojrzenia, czy informacji, które mogły stać się politycznym dynamitem. Kiwnął tylko głową, zastanawiając się, jak połączyć przyjemnie z pożytecznym. Może jednak skończy się w łóżku.

– Źródłem jest niejaki Alladin, zakonspirowany jako importer sprzętu oświetleniowego w Hamburgu. Agent Al Quaidy, w młodości pasjonował się modelarstwem lotniczym, co stanowi wyraźny ślad łączący go z zamachami na WTC.

Położyła na stoliku następne zdjęcie, tym razem ostre i wyraźne. Przedstawiało ponurego typu o słowiańskich rysach twarzy.

– Akademik Kozodojew. W ramach redukcji rosyjskiego programu zbrojeniowego bezrobotny, zwerbowany przez Alladina...

– Zaraz, zaraz! – przerwał attache, wyraźnie nie nadążał. Wyciągnął pospiesznie swego palmtopa. Jak to się pisze, zastanawiał się w popłochu, te cholerne szmaciane łby mają takie dziwne nazwiska, niewątpliwie na złość ludom cywilizowanym. Zaraz... Al Laden...

Wcisnął klawisz search. Ciekłokrystaliczny ekran migotał chwilę. Holly shit!

– Już teraz wierzysz? – uśmiechnęła się.

Powoli skinął głową. Skończyły się żarty. Był teraz zimnym, przygotowanym na wszystko profesjonalistą. Nawet gdy ujęła go za rękę, nie zrozumiał tego opacznie. Poczuł, jak wkłada mu w dłoń coś małego. Kluczyk.

– W dzisiejszej poczcie elektronicznej znajdziesz numer skrytki. Wystarczy podzielić przez dwa i dodać pierwiastek kwadratowy z rocznej produkcji parasoli w Zimbabwe, by otrzymać właściwy kod.

Skinął głową. Jego spojrzenie było chłodne i stalowe. Twardy wzrok profesjonalisty.

– W skrytce są dowody na produkcję przez reżim Saddama broni masowego rażenia. A, B, C, D, aż do Z. Oraz koordynaty najbardziej strzeżonego ośrodka, którego nie potrafią znaleźć inspektorzy rozbrojeniowi.

Coś kołatało się w mózgu dyplomaty. Coś, co trzeba jeszcze powiedzieć. Hasta la vista, baby? Nie, to nie z tego filmu. Już wiedział.

– Co chcesz w zamian? – popatrzył przenikliwie w oczy dziewczyny, w duchu miał nadzieję, że poprosi o azyl w Stanach. Już widział ją i siebie na plaży w Key West, naturalnie oboje objętych programem ochrony świadków. Skrzywiła się tylko.

– Nic. Nie musisz w zasadzie wiedzieć. Ale powiem ci, nie chcemy, żeby wujek Saddam urósł zbyt duży.

Nawet nie poczuł rozczarowania. Jego przenikliwy, analityczny umysł znów zaczął pracować na najwyższych obrotach, Nie chcemy. My nie chcemy. Ktoś za nią stoi, niewątpliwie. Mówiła, że jest z Ukrainy. Wprawdzie w teksańskim college'u nie uczono o tym, ale Ukraina to chyba gdzieś niedaleko Rosji.

Wszystko stało się jasne. Już nie był rozczarowany, że pięknie zapowiadający się romans nie dojdzie do skutku. Wreszcie uczestniczył w grze, tej na najwyższym poziomie. Murowana Gwiazda Wywiadu, odznaczenie, o którym będzie wiedział tylko prezydent, tak zostanie utajnione.

– Zostaniesz tu chwilę – jej głos przywrócił go do rzeczywistości. – Nie idź za mną, więcej się nie zobaczymy.

Wstała, pochyliła się i pocałowała go w policzek.

– Szkoda – szepnęła. – Nieżyły jesteś, mój szpiegu.

Siedział chwilę, oszołomiony szczęściem. Wreszcie ktoś go docenił. I to kto, piękna agentka terenowa. Nawet nie zauważył, że wraz z nią zniknął szpakowaty, niewątpliwie komandos Specnazu.

Widział jeszcze, jak dziewczyna skręca w bramę. Powodowany impulsem poderwał się od stolika, przewracając krzeselko, pobiegł za nią.

Zarośnięte zielenią podwórko na tyłach Nowego Świata było puste. Zniknęła. Za to zza opaskudzonej przez gołębie rzeźby wielkiego jelenia wyszedł szpakowaty.

– A wy kuda? – spytał obcesowo. Attache stropił się na chwilę. Zwalisty typ przyglądał się kpiąco.

– Kim jesteście? – wyrwało się wreszcie dyplomacie, zanim zdążył ugryźć się w język. Znowu nieprofesjonalizm.

– KGB – odparł niedbale facet o wyglądzie rosyjskiego mafiosa.

– Przecież was już nie ma! – zaprotestował dyplomata. Zwalisty typ ujął go konfidencjonalnie pod ramię.

– No właśnie – przeszedł na angielski. – A teraz spierdalaj.

\*\*\*

Dziadek Mróz nacisnął przycisk pilota, brama podziemnego garażu uniosła się z cichym szumem elektrycznych siłowników. Mercedes ruszył, gang silnika odbijał się od ścian tunelu oświetlonego mrugającymi świetłówkami. Jeszcze zakręcił, i po chwili samochód wsunął się na swoje miejsce parkowania, oznaczone numerem apartamentu.

Dziadek wysiadł, nie zwracając sobie głowy zamykaniem wozu. Drogi apartamentowiec na starym Mokotowie dawał gwarancję zabezpieczenia przed kradzieżą.

Można było skorzystać z windy prowadzącej wprost do mieszkania, ale Dziadek wolał wejść schodami. W przestronnym hallu na parterze portier zmierzył go uważnym spojrzeniem, po czym odprężył się wyraźnie. Znał tego szpakowatego mężczyznę jako Pawło Morozowa, rosyjskiego biznesmena, jednego z wielu mieszkających w tym luksusowym budynku.

Biznesmen Morozow pozdrowił portiera skinieniem głowy, po czym skierował się w stronę schodów. Portier, wyglądający na byłego komandosa jednostki Grom nie był zaskoczony, mieszkańcy mieli różne dziwactwa. Ten akurat dość nieszkodliwe, gorszy był inny, który na dźwięk strzelającego korka od szampana wykonywał instynktowne "padnij". Prowadziło to w Sylwestra do zenujących sytuacji.

Przed wejściem do swojego apartamentu Dziadek skrzywił się z niesmakiem. Nawet przez wytłumione drzwi dobiegała bitewna wrzawa.

Matylda oglądała wiadomości. Na ekranie redaktor Tommy Desert Fox przesuwiał strzałki na mapie niczym diadła Stalin. Po chwili zniknął, zastąpiony przez obraz malowniczych wybuchów na przedmieściach Bagdadu.

Dziewczyna spostrzegła Dziadka, wycelowała pilotem w telewizor. Tommy Desert Fox pojawił się znów, ale już bez dźwięku. Tak naprawdę robiło to niewielką różnicę.

Dziadek Mróz patrzył chwilę w ekran, marszcząc brwi. Uśmiechnął się na widok helikoptera apache, wokół którego radośnie tańczyli faceci z kałachami.

– Dubya nieco przesadził – mruknął.

Matylda pokręciła głową.

– I co z tego? – spytała. – Ważny jest efekt, ktoś za nas odwali robotę. A Saddam był i tak skurwysynem, powiedzmy sobie szczerze.

Dziadek wzruszył ramionami. Prawdę mówiąc, niewiele go to obchodziło.

– Zaraz zrobię kolację – Matylda chciała wstać, powstrzymał ją gest Dziadka.

– Oglądaj sobie, nie jestem głodny – powiedział łagodnie. – A potem może gdzieś pójdziemy.

Uśmiechnęła się. I zaraz powróciła do wiadomości.

Dziadek chwilę stał jeszcze, wreszcie poszedł do swego pokoju. Zwalił się na szeroki tapczan, nie zdejmując nawet butów. Kontemplował wielkie poroże, wiszące na ścianie. Jelonek Bambi zdążył wyrosnąć na tęgiego byka.

Istotnie, pomyślał, nie ma co żałować Saddama. Cel uświęca środki, nieważne, jak to oni nazywają? Collateral damage? Szczególnie, gdy sprawa jest osobista.

Zamknął oczy. Ciekawe jak powodzi się Alladinowi w drucianej klatce w bazie Guantanamo? Uśmiechnął się po chwili.

Naprawdę ciekawe, jak czuli się Ali Baba i jego czterdziestu rozbójników, kiedy w tajnym obozie pod Bagdadem spadła im prosto na łby GBU-28.